WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 148 19 GRUDNIA 1978 R. CENA 1.50 ZŁ

Fot. J. Łopuszyński

WYGRAŁY DZIECI

Na salę wchodzi Borg. Podchodzi do grupy młodzieży na korcie. Rozpoczyna się lekcja prowadzona przez trzykrotnego mistrza Wimbledonu. Szwed udziela rad jak prawidłowo trzymać rakietę, jak ustawiać się do odbijania piłek. Wyjaśnia technikę oburęcznego bekhendu, stosowanego przez długi okres tylko przez niego. Następnie zaprasza pierwszego ze swoich uczniów do odbijania piłki. Młodzi tenisiści mają ogromną tremę. Ale po paru uderzeniach opanowywują się. Gra toczy się coraz składniej. Czasami Borg przerywa, podchodzi do siatki i koryguje błędy swoich podopiecznych. Po zakończonej lekcji, wręcza ufundowane przez siebie rakiety tenisowe. Dla przyszłych mistrzów polskiego tenisa to niezapomniane wspomnienia: *„Grałem z Bjoernem Borgiem."*

CIĄG DALSZY NA STR. 3

Wiatrak – gigant

USA (PAI). Współczesna cywilizacja techniczna, choć dysponuje energią jądrową, jakoś niechętnie rozstaje się z bardzo nawet tradycyjnymi jej źródłami. Oto amerykańska firma lotnicza Boeing buduje gigantyczny wiatrak o rozpiętości łopat wynoszącej 100 m, który będzie napędzał generator o mocy 2,5 MW. Największym z dotąd działających urządzeń opartych na sile wiatru jest zbudowana przez NASA turbina powietrzna o średnicy 37 m i mocy 100 kW. **(tok)**

WĘDRUJĄCE DOMY

ZSRR (PAP). Z prędkością 1 metra w ciągu 5 minut będzie przesuwał się dom o wadze ok. 10 tys. ton, w którym mieści się redakcja pisma „Trud". Budynek ten – zabytek architektury rosyjskiej początku XX w. – w związku z rekonstrukcją placu Puszkinowskiego w Moskwie postanowiono przesunąć o ponad 30 metrów.

W połowie lat 30 operacje takie przeprowadzono w Moskwie podczas poszerzania ulicy Gorkiego. W ciągu ponad 3 lat przesunięto wówczas 9 dużych budynków, w tym klinikę okulistyki, którą również obrócono o 90 stopni. Warto dodać, że podczas tych trudnych operacji technicznych nie przerywano w przesuwanych budynkach normalnej pracy!

W najbliższych latach „wywędrują" ze swych dotychczasowych miejsc: znana moskiewska restauracja „Praga" i muzeum architektury rosyjskiej im. Szemsiewa.

(kl.)

POLSKIE LALKI – DLA DZIECI CAŁEGO ŚWIATA

(CAF). Produkuje je w blisko 200 wzorach warszawska spółdzielnia „SPAD". Są naprawdę piękne, kolorowe, różnorodne. Oprócz zwykłych lal dla zabawy – Japonki, Murzynki, Meksykanki, jak żywe; dopracowany i autentyczny jest w nich każdy szczegół: uczesanie, strój, wyraz twarzy. No i oczywiście Kujawiacy, Górale, Krakowiacy w dobrze nam znanych strojach regionalnych... Szwedzkie dzieci czekają teraz z utęsknieniem na zakupione u nas Mikołaje. Lada dzień ukażą się one w witrynach sklepów. Z wąsami, brodami, w czerwonych wspaniałych płaszczach i... sabotach. Obuwie to włożą Mikołajom już sami Szwedzi. Taki to bowiem u nich zwyczaj. (kl)

Fot. **CAF**

Zimowe Igrzyska Młodzieży Szkolnej Krosno '79

DLA KOGO „ZŁOTY KRĄŻEK"?

(Inf. wł.) Trwają już przygotowania do rozpoczęcia szkolnych igrzysk. Zgodnie z terminarzem zawody na szczeblu gminy, rejonu oraz miasta muszą być przeprowadzone do 14 stycznia 1979 r. Dwa tygodnie później odbędą się zawody wojewódzkie.

Podobnie jak w roku ubiegłym, tak i obecnie, nie przewiduje się igrzysk centralnych, ale będzie okazja do konfrontacji najlepszych krajowych sportowców. Oto podczas igrzysk wojewódzkich w Krośnie (1–4.II.79) mogą wystartować także czołowe ekipy z innych rejonów Polski. W następujących dyscyplinach:

- narciarstwo klasyczne (biegi) dziewcząt i chłopców;
- łyżwiarstwo szybkie (łyżwy krótkie) dziewcząt i chłopców;
- „Błękitna Sztafeta" – dziewczęta;
- „Złoty Krążek" – chłopcy.

Dla uczniów szkół ponadpodstawowych organizuje się tylko biathlon. We wszystkich konkurencjach przeprowadzać się będzie wyłącznie punktację drużynową. Ciekawi jesteśmy, kto wygra w „Złotym Krążku". Efektowny puchar ufundowany przez naszą redakcję czeka na zwycięzcę. Przypominamy, że aktualnym mistrzem „ZK" jest drużyna Szkoły Podstawowej nr 3 w Kędzierzynie. Entuzjastów narciarstwa biegowego informujemy, że w Krośnie odbędzie się także otwarty „Bieg ku słońcu".

(zp)

Fot. **M. Żbikowski**

Dziś przedstawiamy

Pół wieku polskiego przemysłu lotniczego

W grudniu br. polski przemysł lotniczy obchodził swój piękny jubileusz. Pół wieku temu powstały bowiem Państwowe Zakłady Lotnicze (PZL). Z tej okazji w rzeszowskiej WSK PZL odbyła się uroczystość, na którą przybyły delegacje załóg z 21 innych zakładów PZL rozsianych po całym kraju. Przybyli też przedstawiciele resortów naczele z prezesem Rady Ministrów tow. P. Jaroszewiczem. Dotychczasowy dorobek i perspektywy rozwoju produkcji lotniczej przedstawił dyrektor naczelny Zjednoczenia Przemysłu Lotniczego i Silnikowego – Krzysztof Kuczyński.

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości nasi konstruktorzy przystąpili do pracy. Wszystko trzeba było zaczynać od zera. Mimo braku zaplecza technicznego w krótkim stosunkowo czasie polskie samoloty zaczęły się liczyć w Europie, a nasi inżynierowie: Puławski, Rogalski, Drzewiecki, Wigura i wielu innych, zyskali sobie miano twórców polskiej myśli lotniczej. Ich samoloty (RWD, P–PZL) należały w swoim czasie do bardzo udanych konstrukcji. Największym sukcesem było uruchomienie seryjnej produkcji samolotów, silników i osprzętu lotniczego. Niestety, wojna przerwała zaczęte dzieło.

Odbudowa po II wojnie światowej – przy pomocy ZSRR – polskiego przemysłu lotniczego pozwoliła w latach 50-tych na uruchomienie produkcji samolotów oraz zupełnie nowej w naszym kraju produkcji śmigłowców. Największą dynamikę rozwoju osiągnięto w latach 70-tych. Dzięki licencjom i współpracy z przemysłem lotniczym Związku Radzieckiego rozpoczęto m.in. wielkoseryjną produkcję samolotów wielozadaniowych „An-2", pierwszych w świecie odrzutowych samolotów rolniczych dużego udźwigu, zaś ostatnio – wysoce skomplikowaną, prowadzoną w oparciu o najnowocześniejsze technologie – produkcję dużych elementów dla wielkich aerobusów „Il-86".

Polski przemysł lotniczy nawiązał też szeroką współpracę z wieloma zachodnimi firmami, podejmując produkcję różnych rodzajów wyrobów lotniczych i rozwijając eksport również do tych krajów. W efekcie tych wszystkich przedsięwzięć polski przemysł lotniczy stał się prawdziwym potentatem produkcyjnym i eksportowym. Tylko w latach 1950–1975 wyprodukowano w Polsce ok. 20 tys. aparatów lotniczych różnego typu i ok. 50 tys. silników, których większość jest eksportowana do kilkudziesięciu krajów świata. (b)

CZY ODEJDZIESZ ŚWIĘTA RÓZGO?

W sklepie podano mi coś, co zapakowane w celofan i mające podłużny kształt, przypominało składaną wędkę. Więc to ma być to moje świąteczne, choinkowe szczęście? Tak, tylko trzeba będzie pamiętać, by *„ustawić choinkę w temperaturze pokojowej na 4–5 godz., co spowoduje naturalne ułożenie się igliwia na gałązkach"* oraz *„W celu nadania choince estetycznego wyglądu, gałązki (...) rozprostować i ułożyć w/g upodobania"*. I jeszcze, że *„należy ją przechowywać w miejscu suchym, w odległości co najmniej 1 m od urządzeń grzejnych..."* Czytając te beznamiętne słowa, czuje się człowiek tak, jakby przed chwilą kupił – powiedzmy – czajnik elektryczny, a nie przedmiot związany z wiekową tradycją.

Wiekową, ale nie tak znów dawną, jakby się wydawało. Jan Stanisław Bystroń, zmarły w 1964 r. socjolog i znawca kultury ludowej podaje, że choinka staropolskiej tradycji wigilijnej nie była znana, że *„zwyczaj ten dopiero w początkach dziewiętnastego wieku zaczął się u nas szerzyć, i to zrazu jedynie w środowisku mieszczańskim niemieckiego pochodzenia, przeważnie wśród ewangelików, i dopiero znacznie później przeszedł do mieszczaństwa i inteligencji polskiej"*. Zatem – ani to zwyczaj bardzo stary, ani polski. Co prawda już w 1720 r. ks. Zapczyński w pracy *„Passja bez kompassji"* pisze, że widział *„...w Prusach naszych malowane złociste i różnymi świecidłami o czaczkami ozdobione rószczki, które tam oni po kolędzie, a za nich mówiąc, na gwiazdkę dzieciom kupują..."*, ale komentując ten cytat Bystroń twierdzi, że owe rózgi zawędrowały do domostw *„chyba pod wpływem niemieckim"*.*

Tak czy inaczej – zwyczaj ustawiania świątecznego drzewka w domu przyjął się u nas i rozpowszechnił, wypierając w znacznej mierze jemiołę i kukłę pająka, w wielu okolicach Polski wieszane nad wigilijnym stołem. W ostatnich latach obok choinkowej tradycji pojawił się też...

...choinkowy problem

Wywodzi się on z troski o lasy. Czy w sytuacji, gdy mamy ich za mało i staramy się jak najwięcej terenów zadrzewiać i zalesiać, wycinanie co roku ponad miliona drzew na choinki nie jest drogą fanaberią? Podobne pytanie powstaje zwłaszcza wtedy, gdy zobaczymy, jakimi drogami wielu rodaków zdobywa świąteczne drzewko...

Przykładem mogą być leżące obok siebie rezerwaty jodłowe: „Jedlina" i „Rudka Sanatoryjna" na wschodnim Mazowszu. Adiunkt Niedziałkowski z opiekującego się nimi nadleśnictwa w Mińsku Maz. powiedział mi, że kradzieże, niestety, nie należą do rzadkości, mimo dozoru strażników. Złodzieje nie przebierają w metodach – najchętniej obcinają kształtny wierzchołek wyższego drzewa, a gdy uzyskana tak zdobycz niezbyt im się podoba – porzucają ją i zabierają się do następnego. A właśnie jodła wymaga w naszym kraju szczególnej opieki. I do niej też praktycznie sprowadza się cały choinkowy problem.

– Mamy w Polsce bardzo mało drzewostanów jodłowych – mówi z-ca dyrektora Lasów Państwowych mgr inż. Tadeusz Orzeszek. – Jodła stanowi nie więcej jak 2 proc. wszystkich drzew. I jest to drzewo wrażliwe, które trudno się u nas odnawia. Młoda – musi rosnąć w odpowiednim ocienieniu, a poza tym okazuje się mało odporna na różne zmiany w środowisku, wywołane przez cywilizację. W niektórych miejscach jodły są atakowane przez szkodniki i masowo giną. Tym bardziej młodych, zdrowych drzewek nie należy wycinać.

Czy nie można by jednak zakładać specjalnych plantacji choinek jodłowych?

– Rzeczywiście – mówi dalej dyrektor – niektórzy proponują: hodujcie młode jodły pod okapem starych. Można by tak robić, dokonując przy tym w lesie wielu pracochłonnych zabiegów. I gdybyśmy tą drogą uzyskali dorodne, 2,5 metrowe jodły, też należałoby im pozwolić rosnąć dalej, bo byłyby z nich w przyszłości bardzo wartościowe drzewa. Ich wycinanie po to, by postały w domu dwa-trzy tygodnie i powędrowały na śmietnik – to z punktu widzenia gospodarki leśnej i przyrody po prostu zbrodnia!

Dlatego w tym roku minister leśnictwa wydał **zakaz wprowadzania do obrotu handlowego choinek jodłowych.**

Ze świerkiem nie ma tych kłopotów. Jest go przede wszystkim bez porównania więcej. Już same cięcia pielęgnacyjne w lasach pozwalają uzyskać sporo choinek. Ale najważniejsze, że świerk – w przeciwieństwie do jodły – nie wymaga ocienienia, można go więc z powodzeniem sadzić w plantacjach na terenach otwartych. Takie plantacje pokrywają dziś ponad 6 tys. ha i są zakładane na terenach do niczego innego nieprzydatnych. Zwłaszcza – pod przecinającymi kompleksy leśne liniami wysokiego napięcia, gdzie nie może rosnąć normalny las. Choinki z plantacji są zdecydowanie najładniejsze.

Dyr. Orzeszek powiedział mi, że lasy mogą dostarczyć tylu świerkowych choinek, ile tylko handel zamówi. Gdy więc idzie o świerk – problemu choinkowego nie ma. Stać nas na to, byśmy mieli w domach naturalne drzewka, choć coraz częściej kupujemy też...

...choinki z folii PCV

To prawda, nie są najpiękniejsze, nie pachną, daleko im do najbardziej nawet „drapakowatych" drzewek z lasu. A jednak...

– Zainteresowanie tym towarem jest ogromne – mówi Irena Wigier, z-ca dyrektora d/s handlowych WSS „Społem". – W zeszłym roku zamówiliśmy 50 tys. sztuk, a dostaliśmy 23 tys. i wszystkie zostały błyskawicznie sprzedane na świątecznym kiermaszu przy pl. Defilad. O dostarczeniu choinek do sklepów nie mogło już być mowy. W tym roku jest lepiej, bo mamy ich 50 tys. i już w początkach grudnia 26 tys. powędrowało do sklepów. Ale wygląda na to, że i teraz popyt nie zostanie zaspokojony.

Największym powodzeniem cieszą się choinki ze spółdzielni w Kozienicach. Przyczyna: wyglądem naśladują jodły. Ale idą „jak woda" także wszystkie inne, choć są to w większości drzewka-karły o wysokości kilkudziesięciu cm. Wśród tych, które otrzymało „Społem", te najwyższe, 2,5 metrowe stanowią 10 proc. i są brzydsze od małych.

Sztuczne choinki mają i inne wady. Dość wysoka cena (ok. osiemset zł za choinkę wysoką) nie jest najważniejszą z nich – przecież drzewko może być używane wiele lat, a i choinki naturalne są drogie. Gorzej, że sztuczne łatwo się palą. Każda więc musi być zaopatrzona w instrukcję przeciwpożarową. Jak z niej wynika, pożar takiej choinki, nawet w porę ugaszony, jest dużo przykrzejszy niż naturalnej, bo wydzielają się przy nim substancje toksyczne.

Jak to więc jest, że przy tych brakach sztucznych choinek i w sytuacji, gdy wszechobecność tworzyw sztucznych na co dzień zaczyna nam doskwierać, popyt na te niby-drzewka rośnie? Chyba po prostu ludzie kierują się wygodą. Zbyt ich nuży „polowanie" na ładną choinkę naturalną, zbyt przykre wrażenia sprawia w źle zorganizowanych punktach sprzedaży wyciąganie połamanych drzewek z pokrytego igliwiem błota. Tym też chyba można wytłumaczyć rezygnację z dużej choinki i zastępowanie jej np. kompozycją z łatwiej dostępnych gałęzi. Czyżby oznaczało to...

...zmierzch choinkowej tradycji?

Trudno prorokować, ale jedno wydaje się pewne: rezygnacja z niej nie jest koniecznością. Nawet, gdy idzie wyłącznie o drzewka naturalne. Są plantacje, mamy też dużo młodych lasów i będziemy mieli jeszcze więcej, a z nich to głównie choinki pochodzą. Cała rzecz nie w ich braku, ale w odpowiednim zorganizowaniu handlu i transportu. A zwłaszcza z tym ostatnim mamy kłopoty – nawet z wywozem drewna z lasu nie zawsze możemy sobie poradzić.

Jest wiele godnych poparcia sposobów na podtrzymanie tej tradycji. M.in. zorganizowanie dostaw gałęzi, które po wyrębach w lasach często się marnują, i wytwarzanie z nich choinek. Albo – sadzenie świerków w ogrodach przydomowych i przystrajanie ich na święta. A tymczasem, choć coraz częściej wzdychamy do natury, rozwija się moda na choinki sztuczne. Dyr. Orzeszek, choć przecież leśnik, też sobie taką kupił i nawet mnie zapraszał do jej obejrzenia. Widać – zadowolony...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. autora

*) **Jan Stanisław Bystroń, „Dzieje obyczajów w dawnej Polsce, wiek XV–XVIII", tom II, str. 42**

SZUSAMI W... BUCIKACH

W słuchawce najpierw usłyszałem głośne sapanie, a później zmęczony głos pana Kazia, kibica-amatora z sąsiedniej dzielnicy.

– Redaktorku, wybiera się pan na deski?

– Muszę, lekarz zalecił. Na korzonki nerwowe leżenie na deskach najlepszy podobno sposób. Właśnie zdejmowałem drzwi, bo nic innego pod ręką nie mam.

– Niech się pan nie wygłupia. O nartach mowa.

– Aha... A pan?

– Właśnie! Od kilku dni po wypożyczalniach biegam, ale szybciej zapalenia płuc niż narciarskie wyposażenie można dostać.

– Może adresy pan pomylił? W wypożyczalniach sprzętu domowego nart „nie prowadzą", tylko w placówkach PTTK, TKKF i w innych ośrodkach turystycznych i domach wypoczynkowych.

– Nie uwierzy pan, ale nawet w wypożyczalniach Warszawskich Ośrodków Wypoczynku „Wisła" jest tylko 200 par nart. Wypożyczalnia PTTK na ul. Batorego ma ich około 100, a placówka TKKF na ul. Górczewskiej – 160. Kropla w morzu na tylu amatorów „białego" urlopu. A spróbuj pan wypożyczyć sanki albo łyżwy! Tylko w TKKF trochę tego sprzętu mają.

– Kierownicy wypożyczalni twierdzą, że sanki i łyżwy „nie idą"...

– Nie idą, bo ich nie ma! Ale największy kłopot z nartami i butami dla dzieci i nastolatków. Wiadomo, młodzież szybciej niszczy sprzęt niż dorośli i wypożyczalniom interes się nie opłaca.

– Są jeszcze inne instytucje, które prowadzą wypożyczalnie. Choćby Międzyszkolne Ośrodki Sportu...

– Prowadzą, ale nie zawsze przeciętny amator nart czy sanek może je wypożyczyć. Np. MOS na Ochocie wypożycza je tylko... nauczycielom ze swojej dzielnicy. Podobnie niektóre placówki PTTK. Nie jesteś PTTK-owcem – sprzętu nie dostaniesz.

– To z winy części klientów. Nie szanują sprzętu, bo nie ich własny. Zdarzają się też kradzieże. W ubiegłym roku warszawskiej „Wiśle" skradziono sprzęt za 74 tys. zł! Połowę dotacji, jaką w tym roku dostała!

– Pan czaruje. Przecież sprzęt wydaje się za okazaniem dowodu osobistego lub legitymacji zakładu pracy.

– Niektórzy pożyczają na dowody znalezione. Są też tacy, od których nawet przez sąd zwrotu sprzętu wyegzekwować nie można, wolą odsiedzieć. Z tego powodu w wielu wypożyczalniach powstały czarne listy nieuczciwych klientów, ale na ich miejsce przychodzą następni...

– Dziwne, że w Zakopanem problem kradzieży nie istnieje i z naprawą sprzętu większych kłopotów nie ma.

– Ale w zimowej stolicy ze sprzętem dla dzieci i nastolatków też jest źle. W ferie młodzież ruszy na zimowiska i po Gubałówce, Antałówce i Skrzycznem dreptać będzie... piechotką.

– Brak pomyślunku, bo można by tam w sezonie skoncentrować jak największą ilość wypożyczalni i dobrze je w sprzęt dla maluchów i nastolatków zaopatrzyć. Tylko te ceny... W jednej zakopiańskiej placówce za wypożyczenie nart z butami, bez względu na standard, płaci się 20 zł na dobę, a w drugiej – 66! Szkoda nerwów! Biegnę do sklepów sportowych, może coś dla syna i córki dostanę...

I pan Kazio odłożył słuchawkę. Obawiam się jednak, że w czasie zakupów nerwów nie uspokoi i jutro znowu zadzwoni. Dlaczego? Ano, bo koszt nart i ubioru dla młodzieży wynosi 4 000–6 000 zł, a dla dorosłych 5 400–11 000 zł. Łatwo więc obliczyć, iż czteroosobową rodzinkę pana Kazia wyprawa na „Biały" urlop będzie kosztować 18 000–34 000 zł. Nie licząc kosztów przejazdu i utrzymania...

Chyba, że później punkt wypożyczania sprzętu założy...

RYSZARD RATAJCZYK

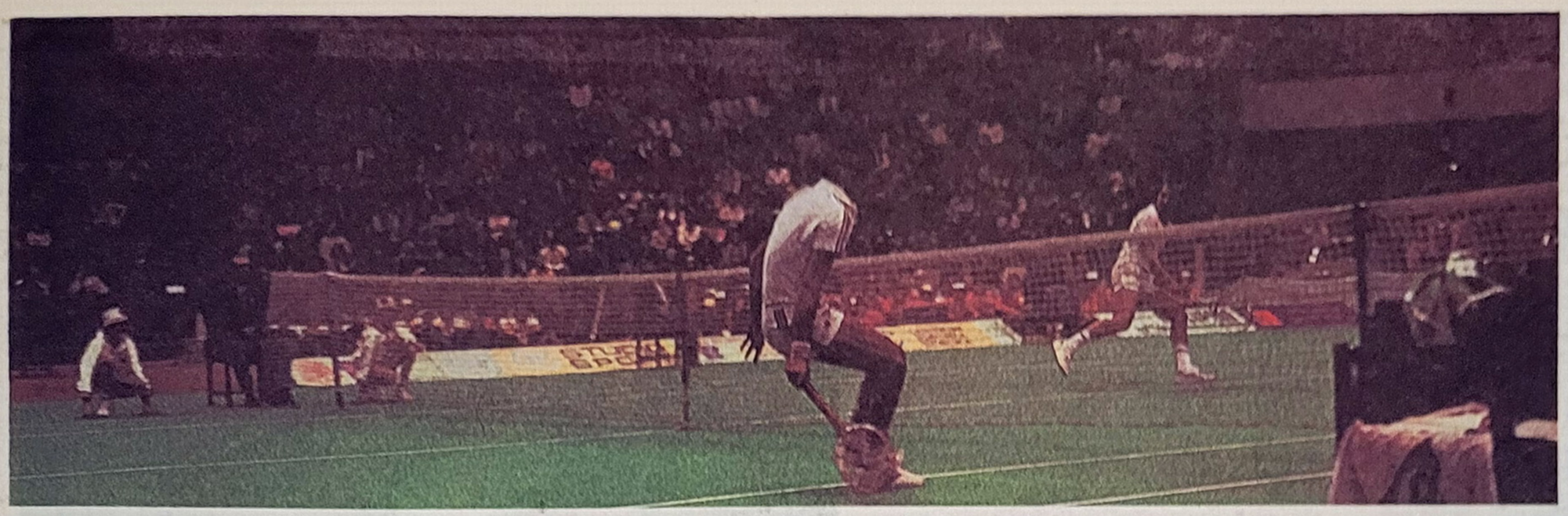

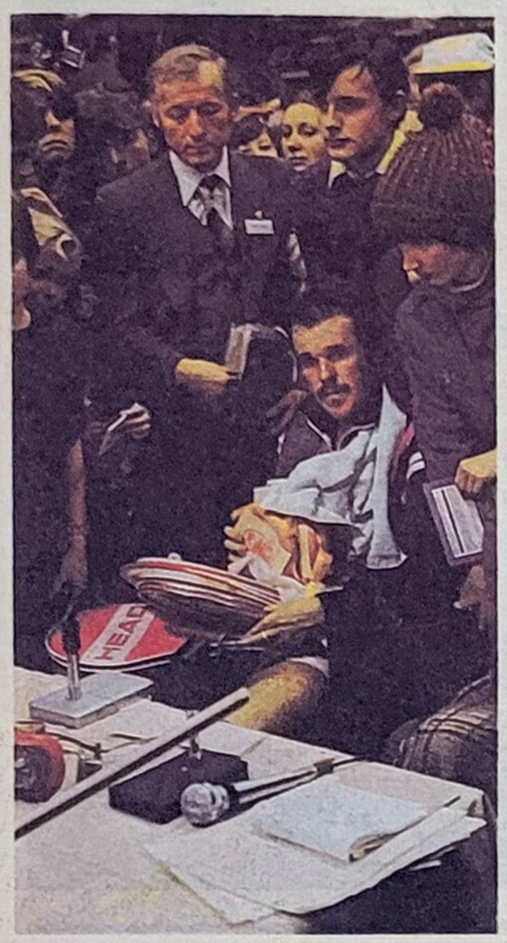

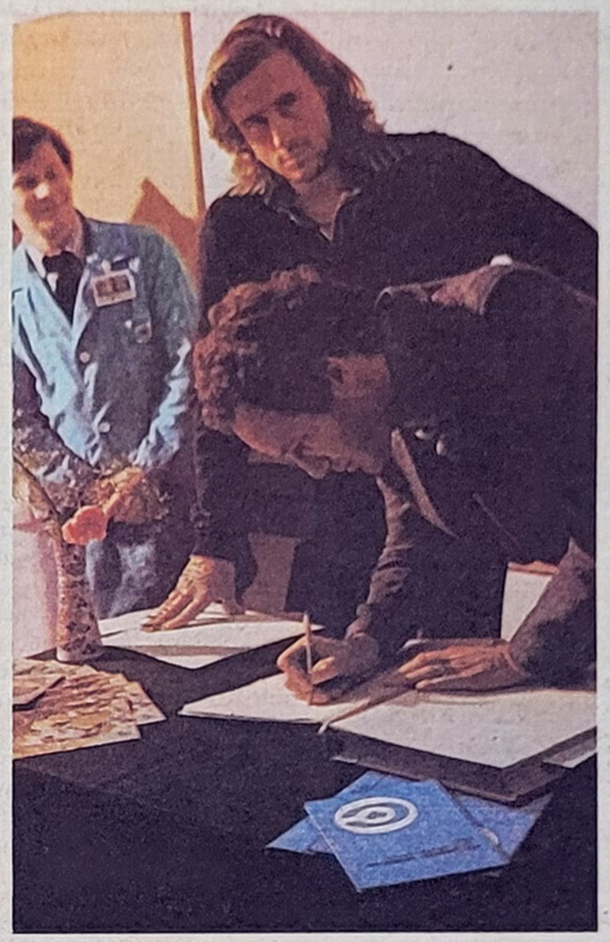

Wygrały dzieci

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Na ten pojedynek czekała cała Polska. Od przeszło miesiąca było wiadomo, że w dniu 2 grudnia w hali poznańskiej „Areny" zmierzą się w bezpośrednim spotkaniu najlepszy tenisista wszechczasów Szwed Bjoern Borg, z naszym asem Wojciechem Fibakiem. Dochód z tego meczu miał być przeznaczony na budowę Centrum Zdrowia Dziecka.

Organizatorzy poznańskiego pojedynku dołożyli wszelkich starań, by impreza wypadła pod każdym względem okazale. I oto 30 listopada wieczorem nadchodzi do Poznania dramatyczna wiadomość: Bjoern Borg odniósł podczas turnieju w Mediolanie kontuzję! Wojciech Fibak rozmawia przez telefon z niedoszłym przeciwnikiem: *„Przepraszam, Wojtek, niestety na mecz nie przyjadę. Wyjeżdżam do domu, lekarze zalecili mi 14 dni odpoczynku."* Przygotowywany od paru tygodni wielki pojedynek nie dojdzie do skutku! Fibak spędza bezsenną noc. Musi sprowadzić w zastępstwie jakiegoś innego tenisistę, a musi to być przecież zawodnik dużej klasy. Jest godzina 3 w nocy z 30 listopada na 1 grudnia. Wojtek telefonuje do swojego przyjaciela i partnera deblowego, który go nigdy nie zawiódł na korcie – Holendra Toma Okkera. Holender poprzedniego dnia przywiózł swojego ojca ze szpitala po ciężkiej chorobie. Fibak przedstawia przyjacielowi dramatyczną sytuację, w jakiej się znalazł on i organizatorzy spotkania, a także cel – dobro dzieci. Odpowiedź Okkera jest natychmiastowa: *„Jeżeli nie znajdziesz nikogo odpowiedniejszego, lepszego, przyjeżdżam."* Po tej rozmowie uspokojony Polak dzwoni jeszcze do Gerulaitisa, Nastase, McEnroe – niestety bez skutku. Są zajęci. Przyjaciel nie zawiódł Wojtka i poza kortem. Przylatuje w ostatniej chwili do Poznania. Organizatorzy meczu wraz z naszym tenisistą chcieli, aby Bjoern Borg był obecny na meczu. Decydują się na rozmowę telefoniczną z matką Borga. Wojtek przedstawia jej całą sytuację; podaje cel na jaki ma być przeznaczony dochód ze spotkania, prosi o nakłonienie syna, by ten przyjechał i był choćby tylko obecny na meczu. Trwa rozmowa w rodzinnym gronie Borgów: *„Bjoern jedź, powinieneś tam być, cel tego meczu jest szlachetny."* Przyjeżdża cała rodzina Borgów.

W dniu 2 grudnia kilka minut przed godziną 16, w poznańskiej hali wielkie poruszenie. Czy Borg przyjechał? Jaki będzie wynik meczu Fibak-Okker? I oto ukazują się w bramie wejściowej. Witają ich burzliwe oklaski. Bjoern Borg, Tom Okker i Wojciech Fibak w otoczeniu fotoreporterów wchodzą na kort. Następuje prezentacja zawodników. Każdy z nich otrzymuje ogromne brawa. Atmosfera w hali „Areny" jest wzruszająca. To już jest nie tylko zwykłe pokazowe spotkanie świetnych tenisistów. Nawet zwykle spokojna i kamienna twarz szwedzkiego tenisisty promienieje uśmiechem. Jest przejęty. Publiczność przyjmuje go serdecznie, mimo że sprawił jej ogromny, choć niezamierzony zawód. Po krótkiej konferencji prasowej, w której uczestniczą dziennikarze i publiczność, trzej tenisiści opuszczają halę.

Powoli zbliża się godzina pojedynku pomiędzy dwoma przyjaciółmi i partnerami deblowymi. Tym razem stają naprzeciw siebie. Tom Okker i Wojciech Fibak dają pokaz wspaniałego kunsztu tenisowego, dżentelmeńskiej postawy na korcie, a jednocześnie grę na pełnych obrotach, bez taryfy ulgowej przez cały mecz. Była to prawdziwa uczta tenisowa, a konto budowy Centrum Zdrowia Dziecka wzrosło o 4 mln złotych.

JACEK ŁOPUSZYŃSKI
Fot. **autora**

JESZCZE RAZ W SPRAWIE „WSKAZUJEMY PALCEM"

W numerze 112 „Świata Młodych" z dnia 26 września zamieściliśmy fotoreportaż Ryszarda Szaniawskiego pt. „Wskazujemy palcem". Na opublikowanych zdjęciach, wykonanych w Wilczu, w województwie zielonogórskim, widniał teren obozowania harcerzy z Hufca ZHP Wołów. Niezasypane doły pełne odpadków, drewniane półki przybite bezpośrednio do drzew, przewrócona brama wejściowa do obozu, trwale wymalowane na asfalcie pobliskiej szosy drogowskazy... W sprawie tej otrzymaliśmy wyjaśnienie Komendy Hufca w Wołowie. Wynika z niego, że za faktyczny stan terenu sfotografowanego w tydzień po zlikwidowaniu obozu, odpowiadają nie jego byli gospodarze, lecz członkowie wędrownego obozu żeglarskiego i wędkarze. Opinię tę potwierdza oświadczenie przedstawicieli straży leśnej i leśnictwa w Wilczu.

Dziękujemy wołowskim harcerzom za zareagowanie na nasz krytyczny głos w tej sprawie. Jednocześnie pragnęlibyśmy wyrazić kilka wątpliwości, jakie nasuwają się po ponownym, dokładnym obejrzeniu zdjęć i lekturze nadesłanego wyjaśnienia. Oto bowiem czytamy w nim, że na terenie pozostawiono jedynie trwałe elementy zdobnicze. Jeżeli brama z drewnianych palików jest takim elementem, to istotnie – pozostawiono ją. A może raczej porzucono? Bo zdjęcie nie prezentuje jakichkolwiek środków mających na celu jej zakonserwowanie, przechowanie do przyszłego roku. Podobnie rzecz ma się z dołami na śmiecie. Wierzymy, że wędkarze lub żeglarze mogli pozostawić po sobie jakieś odpadki. To się – niestety – zdarza. Ale czy logiczne jest stwierdzenie, że ludzie ci odkopali dawne śmietniska? Po co mieliby to robić, dysponując – a z nadesłanego pisma to właśnie wynika – ograniczonym czasem? Trudno też założyć, że kilka żaglówek przybija do zalesionego brzegu na jeden dzień po to tylko, by wykopać dwa duże doły, zapełnić je śmieciami, następnie zaś przybić do drzew parę niewiadomego przeznaczenia półeczek.

I wreszcie pytanie ostatnie – czy sensowne jest malowanie na asfaltowej szosie dużych liter farbą olejną? Nie ma nic bardziej śliskiego od znaczonych deszczem plam tej farby – to wie każdy kierowca, ba, każdy nawet radiosłuchacz audycji dla zmotoryzowanych. Obóz zlikwidowano, niebezpieczeństwo pozostało – czyli coś tu nie tak...

Miejmy nadzieję, że przedmiot dyskusji stanie się powodem do głębszego zastanowienia się nad sposobem zabezpieczenia terenów poobozowych nie tylko dla wołowskich harcerzy. I że w przyszłym roku nie będziemy mieli okazji do wykonania ani takich, ani podobnych zdjęć. **(mz)**

REDAKCYJNA POCZTA

Jak zjednoczyć klasę?

Jesteśmy uczennicami siódmej klasy. Znamy się obydwie od „pieluszek". Uważamy, że nasza przyjaźń powinna być wzorem dla innych. Pomagamy sobie wzajemnie w rozwiązywaniu problemów szkolnych i rodzinnych oraz w nauce. Martwi nas to, że koleżanki i koledzy z naszej klasy nie potrafią współżyć w kolektywie. W klasie potworzyły się grupki, szczególnie wśród dziewcząt. Należą do nich uczennice wzorowe, które weszły w złe towarzystwo. Uważają, że palenie papierosów, zaczepianie chłopców i używanie wulgarnych słów czynią je dorosłymi. My nie należymy do żadnej z grup. Są jednak momenty, że nie wystarczamy same sobie. Chciałybyśmy, aby nasza klasa tworzyła jedną rodzinę. W jaki sposób zjednoczyć klasę? Może Czytelnicy mają skuteczne pomysły?

„x" i „y"

Rano uśmiech, wieczorem łzy

Chodzę do drugiej klasy Technikum Górniczego. Rodziców mam bardzo dobrych. Z klasą współżyję bezkonfliktowo. Gram w piłkę ręczną. Chodzę często na treningi, z których wracam późno. Z mojej twarzy prawie nie znika uśmiech i wszystkim wydaje się, że żyję bezproblemowo. To jednak tylko pozory. Po powrocie ze szkoły zamykam się w sobie, a twarz moja staje się ponura. Uczę się, czytam dużo książek, słucham muzyki... Często zastanawiam się, dlaczego nikt z klasy nie wpadnie do mnie bez zaproszenia. Ot tak sobie, nagle po jakąś poradę, na pogawędkę. Dlaczego nikomu nie jestem potrzebna po godzinach lekcyjnych? Płakać mi się chce, ale nikomu się z tego nie zwierzam. Rano idę jak co dzień do szkoły – uśmiechnięta. Bezproblemowa, „wesoła" dziewczyna. Jak zmienić to beznadziejne życie?

„Hrabina"

Do Małgorzaty

Po przeczytaniu listu Małgorzaty z 135 n-ru „Świata Młodych" postanowiłam napisać kilka słów. Jestem uczennicą VIII kl. muzycznej szkoły podstawowej w Poznaniu. Tak jak i Ty, Małgosiu, strasznie nie znoszę swego instrumentu. Gram na fortepianie. Bardzo dużo czasu muszę poświęcać na ćwiczenia, gdyż program VIII kl. jest obszerny. Wielokrotnie prosiłam rodziców o zmianę szkoły. Również bez skutku. Moja sytuacja jednak różni się trochę od Twojej. Mam bowiem dużo koleżanek i swojego chłopaka. Jestem zapraszana na prywatki i imieniny. Nie chodzę co prawda na wszystkie, ale w niektórych rodzice pozwalają mi uczestniczyć. Proponuję Ci, abyś serdecznie, a zarazem poważnie porozmawiała z rodzicami. Tym razem już nie o zmianie szkoły, lecz o Twoim nikłym kontakcie z koleżankami i kolegami. Życzę Ci powodzenia.

„Wiki"

Chcę uzupełnić zszywkę

Zbieram wszystkie numery „Świata Młodych". Brakuje mi jednak do zszywki numerów 123, 128, 132, 139 i 140. Bardzo proszę redakcję o przysłanie mi ich do domu.

OD REDAKCJI: Już niejednokrotnie informowaliśmy na łamach gazety, iż po brakujące egzemplarze należy zwracać się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa.

METALURGICZNY DWULATEK

Dwa lata temu, 11 grudnia 1976 roku dokonano w hucie „Katowice" pierwszego etapu spustu stali z konwertora. Tak więc zaledwie po niespełna pięciu latach budowy ruszył największy polski kombinat metalurgiczny. W praktyce światowego budownictwa przemysłowego było to wydarzenie wręcz bezprecedensowe.

Dziś huta „Katowice" spełnia już nadzieje, jakie z nią wiązano. Zaczyna odgrywać coraz większą rolę w naszej metalurgii. Początkowo jako kooperant dostarczający półprodukty przeznaczone do przetworzenia w innych zakładach, a obecnie – w coraz większym stopniu jako dostawca wyrobów finalnych.

Ten największy i najnowocześniejszy zakład polskiej metalurgii dobrze dziś służy krajowi. Dotychczas wyprodukowano już w hucie „Katowice" 5 mln ton surówki, 5,5 mln ton stali, blisko 6 mln półwyrobów walcowanych i około 400 tysięcy ton wyrobów gotowych z walcowni średniej.

Już teraz huta dostarcza prawie jedną piątą krajowej produkcji stali. Trzykrotnie przewyższa to ilość stali wytwarzanej przez całe polskie hutnictwo w 1938 roku. W bieżącym roku huta „Katowice" wyprodukuje 4 mln ton stali.

Dla porównania – jest to 20 procent produkcji stali we Francji i jedna czwarta produkcji CSRS.

Dzięki tej stali zarówno przemysły przetwórcze, jak i budownictwo uzyskały możliwości zwiększenia produkcji. Wyroby z huty „Katowice" trafiają do coraz liczniejszego grona odbiorców. Do najważniejszych należą: stocznie okrętowe, dla których ze wsadu huty wyprodukowano 50 tysięcy ton blach okrętowych, „Ursus", „Pafawag", „Cegielski", Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego oraz fabryki maszyn rolniczych.

Na liście odbiorców znajdują się także kontrahenci zagraniczni z USA, RFN, Belgii, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Meksyku, Grecji i Wenezueli. Jakość eksportowanych wyrobów wysoko ceniona jest zwłaszcza przez takie renomowane firmy jak: Sharon Steel z USA i Klöckner, które przeznaczają półwyroby huty m.in. do produkcji blach karoseryjnych.

Huta „Katowice" – największy i najnowocześniejszy kombinat metalurgiczny – budowana w ścisłej współpracy ze Związkiem Radzieckim, jest wizytówką polskiego hutnictwa. Zastosowane technologie, nowoczesne rozwiązania techniczne, wykorzystanie komputerów do automatycznego sterowania procesami produkcji i wysoko kwalifikowana, ofiarna załoga stawiają ją w rzędzie najnowocześniejszych obiektów tego typu w świecie. **(mt)**

Fot. **Grzegorz Dymarski**

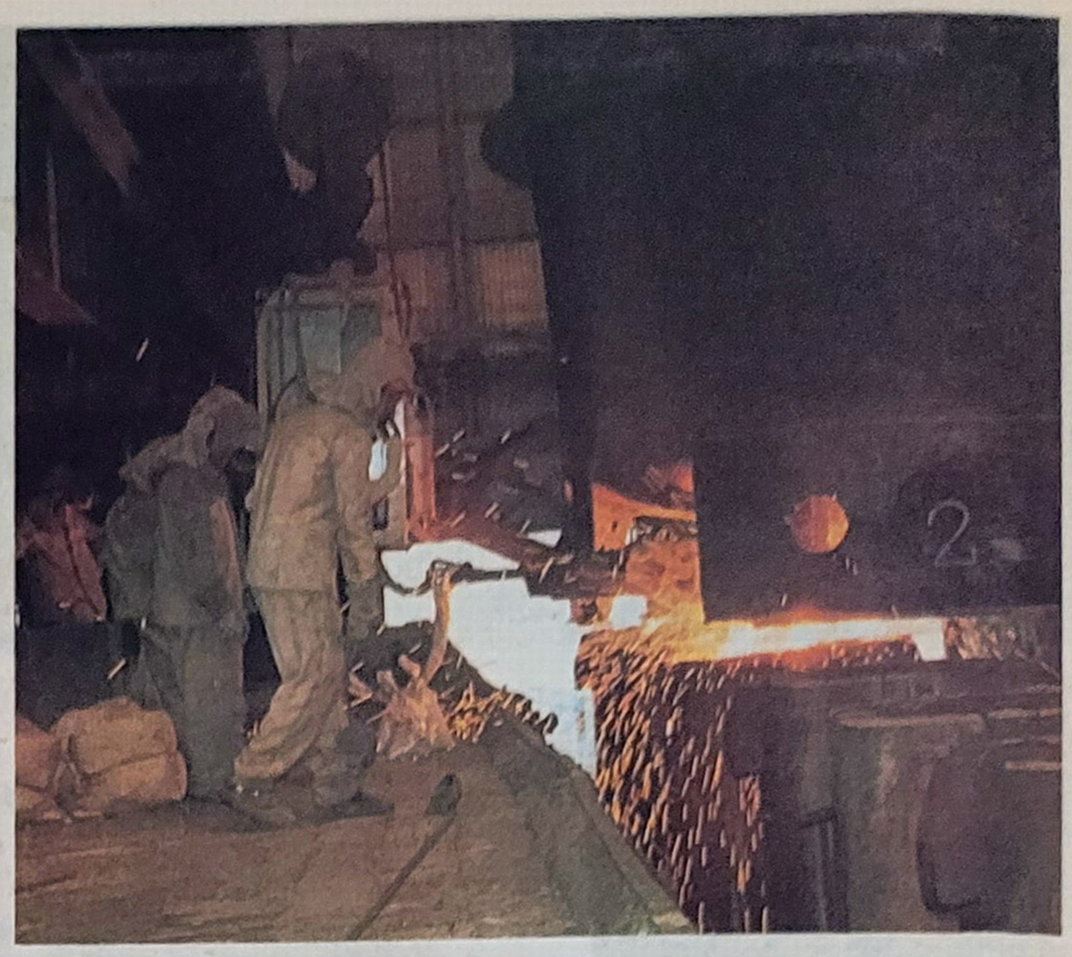

WARSZAWSKI KLUB GO FSZMP

„Nie pozwólcie umysłom gnuśnieć, grajcie w GO"
Konfucjusz

Zawodowcy a amatorzy

Uczniom akademii GO (zwanym „insei") przyznaje się stopnie. Ci, którzy przebrną przez gęste sito eliminacji otrzymują dyplom 1 dana zawodowego. Zdobycie tego tytułu stanowi spore osiągnięcie dla młodego zawodnika i jest obchodzone bardzo uroczyście. Świadczy również o wysokim poziomie gry, bowiem nawet najlepsi profesjonaliści mają nikłe szanse na wygraną z zawodowym 1 dan, dając mu 2 handicapy wyrównania. Następne stopnie (aż do 9 dan) przyznaje się w wyniku osiąganych rezultatów w ważnych turniejach.

Powstaje pytanie: jaka jest różnica w poziomie i sposobie gry między zawodowcami a amatorami?

Otóż 1 dan profesjonalny odpowiada 6 danom amatorskim. Trudniej jest znaleźć odpowiedź na drugą część pytania. Wydaje się, że różnica nie polega jedynie na tym, że profesjonaliści znają dużo więcej debiutów i różnego rodzaju kombinacji w grze środkowej i końcowej. Nie polega też chyba na tym, że umieją oni bardzo dokładnie i na wiele ruchów naprzód przewidywać sytuacje na planszy. Najważniejsze jest to, że zawodowcy mają zupełnie inne podejście do gry i w wyborze poszczególnych wariantów kierują się kryteriami nieznanymi lub rzadko stosowanymi nawet przez najsilniejszych amatorów.

GO w ich wydaniu można porównać do sztuki. Kształty tworzonych obozów, konsekwencja w realizacji planów strategicznych, a przede wszystkim doskonała harmonia i równowaga współpracujących ze sobą pionów może wzbudzać prawdziwy zachwyt. Gra w wykonaniu zawodowców ukazuje coraz to nowe, coraz głębsze walory tej pięknej gry.

Ich wspaniałe partie wraz z obszernymi komentarzami można prześledzić w specjalnych publikacjach poświęconych w całości GO, o których napiszemy w następnym odcinku.

Jerzy Sacharewicz

*Grają dwaj profesjonaliści starszej generacji: **Fujisawa Shuko 9 dan i Hashimoto Utaru 9 dan***

KTO CHCE:

- **uczestniczyć w interesującym rajdzie turystycznym**
- **odbyć niecodzienną praktykę zawodową**
- **wziąć udział w ciekawym obozie naukowym**

niech zgłosi swój udział w harcerskiej operacji „Azymut-Huta »Katowice«"

HUTA CZEKA NA HARCERZY

– Harcerze pomogli nam w najgorętszych okresach: gdy przygotowywaliśmy się do uruchomienia huty i wtedy, gdy biliśmy światowy rekord szybkości budowy wielkiego pieca. Jedenaście tysięcy harcerzy – jedenaście tysięcy moich przyjaciół, którzy brali do tej pory udział w operacji pozostawiło trwały ślad na placu budowy. Te 300 tysięcy przepracowanych godzin to tyle, co 70 mln zł przerobu, lub inaczej 7 budynków mieszkalnych dla załogi huty. A to się już poważnie liczy – tak ocenia harcerską robotę w hucie „Katowice" w ostatnich trzech latach generalny dyrektor budowy **Romuald Kozakiewicz.**

Na rok przyszły harcerstwo wyznaczyło sobie niemniej ambitne zadania. W operacji „Azymut-Huta »Katowice«" zaplanowano udział aż tysięcy harcerzy. W lipcu i sierpniu przeprowadzony będzie tradycyjny już rajd turystyczny na trasach pieszych i rowerowych z metą w hucie „Katowice". Będzie on organizowany na zasadach obozów wędrownych, które kończyć będzie pięciodniowy pobyt w stanicy „Huta", połączony z pracą w największym kombinacie metalurgicznym.

Po raz drugi też zorganizowane będą obozy praktyk zawodowych dla uczniów szkół ponadpodstawowych oraz obóz społeczno-naukowy dla laureatów olimpiad przedmiotowych. O atrakcyjności praktyki odbytej w hucie „Katowice" lub obozu naukowego w zakładzie dysponującym najnowocześniejszą techniką nie trzeba nikogo przekonywać. Warto jednak poinformować, że można jeszcze zgłosić swój udział w każdej z wymienionych tu form ciekawego i oryginalnego sposobu spędzenia wakacji.

Zachęcamy drużyny i szczepy harcerskie oraz średnie szkoły zawodowe, aby już dziś wysłały zgłoszenia udziału w rajdzie i praktyce zawodowej do Głównej Kwatery ZHP, na adres: **GK ZHP Wydział Nauki, Techniki i Kwalifikacji, ul. Konopnickiej 6, Warszawa.** Tam też można uzyskać wszelkie dodatkowe informacje.

Z podobną propozycją zwracamy się do olimpijczyków wszystkich niemal „specjalności". Obóz naukowy w najnowocześniejszym zakładzie metalurgicznym to możliwość skonfrontowania swej wiedzy z wybitnymi specjalistami tu zatrudnionymi, bezpośredni udział w pracach centrum ochrony środowiska, laboratorium chemicznym, ośrodku obliczeniowym, gazecie zakładowej itp.

Właśnie o tym wszystkim, a także o planowanym po raz pierwszy w przyszłorocznej operacji obozie zespołów artystycznych i plenerze malarskim, mówiono na niedawnym spotkaniu kierowniczego kolektywu partyjno-gospodarczego kombinatu z czołowym aktywem ZHP. W spotkaniu uczestniczyli podsekretarz stanu w Ministerstwie Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, generalny dyrektor budowy huty Romuald Kozakiewicz i naczelnik ZHP Jerzy Wojciechowski oraz przedstawiciele kombinatu i przedsiębiorstw budujących hutę, a także instruktorzy ZHP związani z operacją.

Podczas tego spotkania naczelnik ZHP powołał radę społeczno-programową operacji „Azymut-Huta »Katowice«", w skład której weszli harcerze i instruktorzy oraz przedstawiciele budowniczych huty. Na jej czele stanął doświadczony instruktor, dyrektor d/s socjalnych generalnej dyrekcji budowy, hm PL Jan Dymarski. **(mt)**

Fot. **Zb. Bisanz**

Wiceminister R. Kozakiewicz i naczelnik ZHP Jerzy Wojciechowski gratulują dh E. Marszałek, szczepowej 31 Szczepu DH HSPS z ZSE nr 2 w Szczecinie, wyróżnionej Odznaką „Budowniczy huty »Katowice«"

Nie tylko dla palących!

MIŁOŚĆ I PAPIEROS

Dziś przedstawiamy wyjątki z listów Czytelników, wywołanych artykułem „Jesteśmy z Wami i przeciwko Wam", które dotyczą spraw uczuć i palenia. A więc zarówno „chodzenia" z sympatią jak i przyjaźni, wzajemnego wpływu na siebie koleżanek i kolegów. Wydaje się również, że zainteresują Czytelników opinie na temat stosunków w rodzinie i szkole. Oto co na te tematy myślą nasi korespondenci.

...Mój chłopiec palił, ale ja zawsze mu powtarzałam, że robi głupio, a gdy to nie pomogło, zaczęłam go ignorować. Aż pewnego razu dowiedziałam się, że rzucił palenie. Radość moja była ogromna. Od tej pory znów zaczęłam się z nim spotykać. Minęło pół roku i mój chłopiec nie ruszył papierosa, a wręcz przeciwnie – był bardzo zadowolony, że nie pali. Chciałabym dać radę dziewczętom, których chłopcy palą. Nigdy nie stawiajcie im warunku: „Albo ja, albo papierosy", ponieważ niejednokrotnie chłopiec wybiera... papierosy.

„Sandra"

Na wakacjach i na początku VIII klasy chodziłam z chłopakiem, który nie palił. Zabronił mi palić, no i tak przestałam. A teraz z nim nie chodzę, ale nie palę nadal. Czy kiedyś zacznę, nie wiem.

Małgorzata

Jestem wychowankiem Państwowego Domu Dziecka, mam 16 lat. Pierwszego papierosa zapaliłem, gdy jeszcze byłem u rodziców, miałem wtedy 7 lat. Ojciec mój spożył wtedy za dużo alkoholu i dał mi papierosa, i kazał mi go spalić. Poprzestałem na tym papierosie, ale gdy miałem 13 lat, byłem już wychowankiem Państwowego Domu Dziecka i znów zacząłem palić. Paliłem chyba z pół roku, około pięciu papierosów dziennie. Postanowiłem jednak skończyć z paleniem i powoli oduczyłem się, chociaż koledzy mnie namawiali ale odmawiałem i do tej pory nie palę.

E.M. Wschowa

Pierwszego papierosa zapaliłam mając 12 lat. Okoliczności były dość znane. Większa część młodzieży zaczyna palić i pić w takich okolicznościach jak ja. W szóstej klasie koleżanka z klasy zaprosiła mnie na prywatkę. Od tamtej pory zawsze i wszędzie towarzyszył mi papieros. Jednak przestałam, i to w dość niezwykłych okolicznościach. W połowie siódmej klasy poznałam chłopaka i zaczęłam z nim chodzić. On palił od piątej klasy i nie wiedział, że ja palę. Jednak raz mnie zobaczył. Na drugi dzień powiedział, że jak nie przestanę, to będzie źle. A ja mu na to; dlaczego ja nie mogę palić, jeżeli ty palisz? A on, że chłopcu to pasuje, a dziewczyna z papierosem wygląda jak wariatka. I od tamtej pory nie miałam papierosa w ustach.

„Muszka", Kraków

Palę po to, aby nie być fajtłapą, natomiast chłopaki z klasy palą po to, aby być modnymi i spodobać się dziewczynom, które im się podobają.

Lynio z VII „c"

Rodzice moi palą, mama pali nałogowo, gdyż wypala codziennie 40 papierosów, a tato pali do 5 sztuk dziennie. Kocham mamę, ale dziwi mnie jedno: ona pracuje w przychodni przeciwgruźliczej, jest lekarzem i wie, że nikotyna jest zabójstwem dla zdrowia, a nie może się ograniczyć i gdy ja czytam mamie na ten temat artykuły to się na mnie złości. Proszę Was, odpiszcie mi, co mam robić, żeby mama ograniczyła się z paleniem, gdyż zarówno mamie jak i mnie wpływa to ujemnie na zdrowie, bo znajdujemy się w tych samych pomieszczeniach i ja też wdycham te opary z papierosów.

Z.M. Skawina

Było to w VI klasie. Miała być klasówka i baliśmy się. Cała klasa uciekła z lekcji. Poszliśmy do parku. Wtedy rozdzieliliśmy się na grupy. Nas było ośmioro, 5 chłopców i 3 dziewczyny. Chłopcy wyciągnęli papierosy i zaczęli nas częstować. Jedna dziewczyna wzięła papierosa i zaczęła „kurzyć". My powiedziałyśmy, że nie umiemy. Jeden z chłopców zaofiarował się, że nas nauczy. Wtedy papierosy zaczęły mi smakować. Miałam wtedy 12 lat. Od tamtego czasu zaczęłam palić. Palę 4-6 papierosów dziennie. Więcej nie, bo boję się rodziców.

„Margeritta"

Powinniśmy sami zrozumieć, co tracimy paląc i czym to grozi naszemu potomstwu. Po trosze zatruwamy je już w zarodku. To chyba nie jest zbyt humanitarnie.

J.K. Głogówek

Miałem wtedy chyba 10 lat, chodziłem do 4 klasy. Pierwszego papierosa zapaliłem u kolegi, gdy miał „wolną chatę". Dał mi papierosa i powiedział, żebym zapalił i spróbował jak smakuje. W takich to okolicznościach zapaliłem pierwszego papierosa. Paliłem aż do siódmej klasy, w tej klasie poznałem dziewczynę, dzięki niej to rzuciłem palenie.

Jeśli ktoś ma zaufanego kolegę, przyjaciela, to ten jego przyjaciel powinien mu wytłumaczyć, aby rzucił palenie, lub jeśli ktoś ma dziewczynę i zależy mu na niej, powinien rzucić palenie choćby dla niej, albo jeśli ona go poprosi. Ten sposób był na mnie wypróbowany i jak widać podziałał skutecznie – rzuciłem papierosy.

A.L. Wrocław

U nas jest paru chłopców, którzy mają 12–13 lat, a już palą papierosy. Jest to niezwykłe dlatego, że mamy tych chłopców nic im na to nie mówią, a tatusiowie zbiliby synów, gdyby się o tym dowiedzieli, lecz mamy to ukrywają bo boją się, żeby syn nie został ukarany. Co to za miłość?

Dorota

Mam chłopca, który pali, ale na moje żądanie przestał i ja też postaram się przestać palić, choć wiem, że to będzie trudne.

B.T. Piaseczno

Moja rodzina jest chyba jedną z najszczęśliwszych. W ogóle nikt w rodzinie u mnie nie pali.

E.R. Świdnica

Jak młodzież ma nie palić, skoro dyrektorka (i nie tylko ona) wchodzi na lekcję z papierosem?! To samo czyni matematyczka. Większość nauczycieli pali papierosy. Czasem nauczyciele są „idolami uczniów", więc młodzież też pali by stać się podobnym do swego „idola". Przyznam się, że ja też palę.

K.P. Warszawa

W jednym z najbliższych numerów, przedstawimy propozycje Czytelników w sprawie działań jakie trzeba by podjąć, by zmniejszyć liczbę palących wśród młodzieży.

Ludzie i atole czyli wędrówki po Mikronezji

GIBRALTAR PACYFIKU

JANUSZ WOLNIEWICZ

TRUK (1)

Laguna Truk stanowi unikalną formację w akwenie całego Pacyfiku. Mniej więcej dziesięć milionów lat temu atol Truk stanowił jedną wielką wyspę. Wskutek działania sił wulkanicznych, wyspa pogrążyła się w morzu i obecnie tylko dawne górskie szczyty wystają nad powierzchnią wody. Otrzymały one od natury w prezencie piękną, kolorową barierę (140 mil w obwodzie), chroniącą je przed falami. Powstało w ten sposób prawdziwe jezioro w łonie wielkiego oceanu. Głębokość laguny dochodzi do stu metrów, a koralowy pierścień ma aż cztery głębokowodne przejścia. Jeśli dodać do tego kilka górzystych wysp, na których można było umieścić wiele instalacji wymarzonych przez specjalistów wojskowych – wyspy Truk można było rzeczywiście uznać za prawdziwy Gibraltar Pacyfiku.

Wylądowałem w krajobrazie, jaki w każdym filmie o Morzach Południowych musi, chociażby na krótko, pojawić się na ekranie. Były więc palmy, roześmiani brunatni ludzie, farbkowo niebieski szmat wody, w bliskiej perspektywie zielone wyspy i białe kryzy pian zwiastujących istnienie raf.

W tym rajskim zakątku odrzutowiec był z pewnością intruzem, który jakby przypadkiem usiadł na koralowej rafie. Lądowisko jakby przylepione do wyspy Moen wystawało dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów nad lustro wody. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego dwa biało-pomarańczowe Boeingi 727, „Air Micronesia", są teflonowane. Na takich lotniskach spryskują je wciąż słone fale i bez zabezpieczenia żywot maszyn byłby nader krótki.

Byłem z siebie rad, że oto stojąc pod skrzydłem teflonowanego, niby patelnia odrzutowca – stałem się prawdopodobnie drugim od stu lat Polakiem po Kubarym, który dotarł tu niemal wprost z Warszawy, „Wyspy Ruk na Oceanie Wielkim" – tak brzmiał tytuł artykułu Kubarego, który wydrukowany został w roku 1882 w „Tygodniku Ilustrowanym". Zawierał on część obserwacji, które nasz wielki rodak poczynił podczas 14-miesięcznego pobytu w roku 1877 na tych wyspach.

Zamieszkałem w hotelu „Maramar" i od pierwszej niemal chwili zaprzyjaźniłem się z Billem i Rodneyem, dwoma amerykańskimi studentami, którzy mieszkali przez ścianę i byli zwariowanymi płetwonurkami. Mieli ze sobą cały magazyn płetw, butli, lamp, masek, reduktorów itp. Ich ambicją było obejrzeć jak najwięcej wraków zatopionych przed trzydziestoma trzema laty.

Już następnego dnia, po wizycie w administracji dystryktu, okazało się, że z Billem i Rodneyem będę mógł wejść w spółkę. Skontaktował się ze mną pan Ermes Siales, i ni mniej, ni więcej, zaofiarował rodakowi Kubarego łódkę do dyspozycji na cały dzień. Natychmiast pomyślałem o młodych przyjaciołach. Następnego dnia oni mieli łódkę, a ja akwalung, z którym nauczyłem się obchodzić jeszcze na Morzu Karaibskim.

Nasz szyper, Joe, był zawołanym gawędziarzem. Rodney z Billem słuchali z otwartymi gębami, co zawierają poszczególne wraki. Jedna z ciekawszych opowieści dotyczyła losów japońskiego

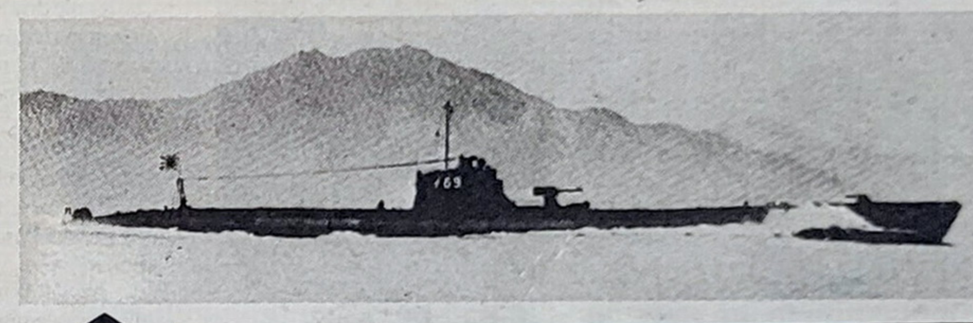

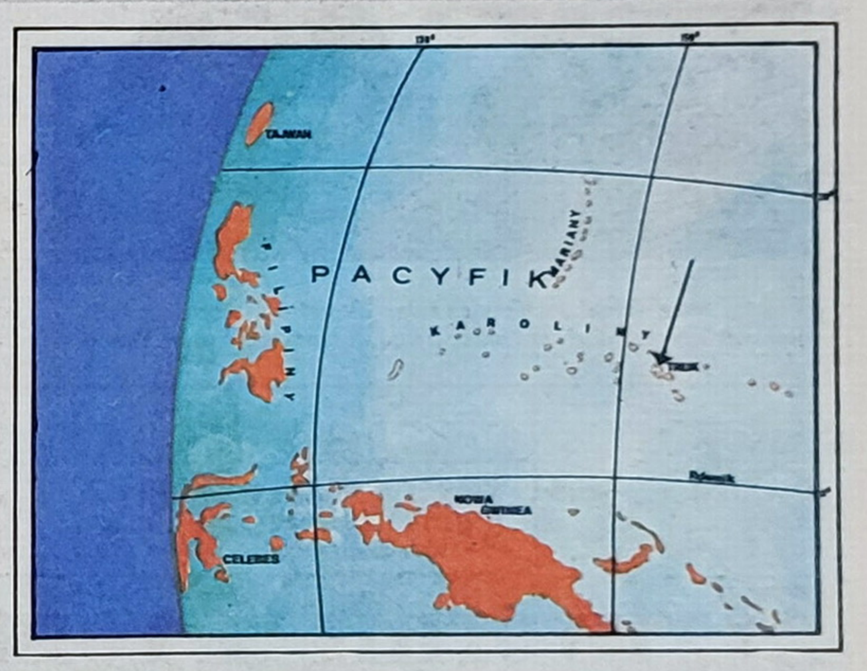

Japoński okręt podwodny I-169 w całej okazałości. Świadkiem tragedii załogi tej jednostki były krystalicznie czyste wody laguny Truk – Gibraltaru Pacyfiku

okrętu podwodnego I-169, który znalazł się wśród ofiar wojny w lagunie Truk. Historia tej jednostki jeszcze przez trzydzieści lat od kapitulacji wojsk cesarskich frapowała zarówno Japonię, jak i administrację amerykańską na Mikronezji.

I-169 był jednostką zbudowaną w Kobe w latach 1935/36 i należał do największych okrętów podwodnych swoich czasów; 1785 ton wyporności nawodnej i 2440 podwodnej, szybkość 23 węzły na powierzchni i 9 w zanurzeniu. Była to jednostka, specjalnie zaprojektowana do działań oceanicznych. I-169 brał udział w ataku japońskim na Pearl Harbour, gdzie jego załoga przeżyła nader dramatyczne godziny. Okręt uwikłał się bowiem w sieci przeciwpodwodne i przez blisko pięćdziesiąt godzin walczył o swoje istnienie.

Najtragiczniejszym jednak dniem dla okrętu i jego załogi okazał się 4 kwietnia 1944. Okręt stał wówczas na kotwicowisku między wyspami Fefan i Dublon, i był przygotowany do alarmowego zanurzenia. Gdy ogłoszono alarm lotniczy I-169 spokojnie zszedł pod wodę i osiadł na dnie, sto trzydzieści stóp pod powierzchnią, podobnie zresztą jak i reszta dywizjonu okrętów podwodnych. Kiedy odwołano nalot, pięć okrętów ukazało się ponownie na powierzchni: I-169 pozostał jednak na dnie. W jego kadłubie zamkniętych było siedemdziesięciu siedmiu marynarzy.

Dowództwo flotylli natychmiast rozpoczęło akcję ratunkową. Nurek stwierdził niedokładne zamknięcie dwóch zaworów i zatopienie kiosku wraz z centralą. Pukanie z wewnątrz kadłuba dowodziło jednak, że w wielu przedziałach wodoszczelnych żyje jeszcze spora gromada ludzi. Sprowadzono pływający dźwig, w nadziei, że okręt nie nabrał zbyt wiele wody. Czy jednak obliczenia okazały się błędne czy też akcja zdenerwowanych i oczekujących następnego nalotu ludzi mało precyzyjna – operacja nie powiodła się. Popękały grube stalowe liny.

Straszne godziny musiała przeżywać wówczas nieszczęsna załoga I-169. Tak blisko bazy i tak daleko. W zamkniętym kadłubie kompletne ciemności, powietrze gęstniejące z każdą chwilą, woda podnosząca się coraz wyżej wskutek nieszczelnych grodzi steranego wojną okrętu. Na zewnątrz, po zerwaniu kabli – martwa cisza. Nadchodzi nieuchronna śmierć...

Wiele wojennych strat, wiele tragedii, poszło w zapomnienie. O I-169 pamiętał jednak pan Ko Maki – weteran walk na Pacyfiku, uczestnik akcji ratunkowej na Truk.

Ten były marynarz dzięki swym nieustępliwym staraniom – spowodował przyznanie przez rząd japoński dotacji w wysokości trzech milionów jenów na wydobycie I-169.

Fot. „National Geographic"

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

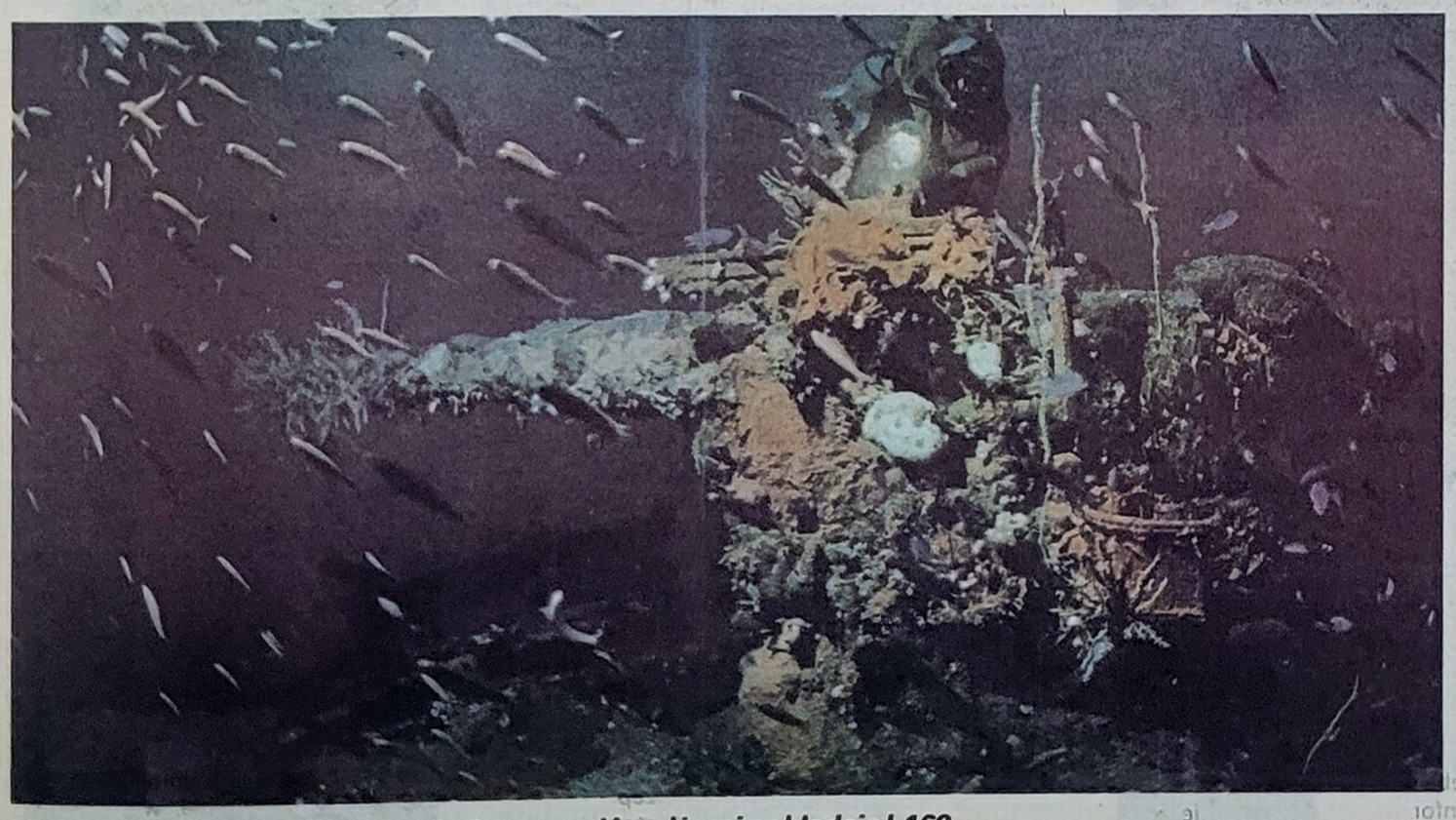

Płetwonurek na porośniętym wodorostami i małżami pokładzie I-169

GWIAZDOZBIÓR

MARTA KOBIERSKA

w pięknym, barwnym świecie

Projekt kostiumów potrzebnych do sceny na arabskim targu w filmie „Jak rozpętałem II wojnę światową"

Marta Kobierska jest kostiumografem filmowym. Projektowała kostiumy dla ponad 20 filmów – m. in. do „Pogoni za Adamem", „Jak rozpętałem II wojnę światową", „Drzwi w murze", „Milionera", „Dulskich", „Granicy" i seriali telewizyjnych: „Chłopi", „Daleko od szosy", „Trzecia granica" i „Rodzina Połanieckich". Emisja tego ostatniego jest przewidziana na przyszły rok.

– Każdy film to inna epoka, można w ciągu jednego życia przewędrować szmat czasu.

– To chyba jedna z najatrakcyjniejszych stron tego zawodu. Zawsze lubiłam historię, a praca pozwala mi poznać odległe czasy i ludzi w nich żyjących. Staram się „wejść" w epokę bez reszty; taka wiedza bardzo pomaga, zwłaszcza wtedy, gdy już trwają zdjęcia i wyłania się konieczność przygotowania dodatkowego kostiumu, dla którego trudno o dokumentację. A poza tym w filmie staramy się robić właściwie nie kostiumy, a ubrania; ubieramy, nie przebieramy. Kostium musi stać się strojem, o którym aktor grając nie pamięta.

– Czy wchodząc tak bez reszty w epokę nie traci Pani kontaktu ze współczesną modą?

– Niezupełnie. Stylowe kostiumy są zawsze jakoś dopasowane do współczesnego pojęcia o estetyce, nie mogą być w odczuciu widzów staroświeckie czy śmieszne. Choćby kostium renesansowy dla mężczyzny: różnego koloru pończochy, małe bufiaste spodenki, rękawy sznurowane jak balerony. Znakomitym przykładem stylowego filmu jest dla mnie „Romeo i Julia" – Zefirellego. Był odległy w czasie, a zarazem współczesny. Podobnie jest w filmach Viscontiego, który wielką wagę przykładał do scenografii i kostiumów, dbał o to, by epoka była odtworzona w najdrobniejszych szczegółach. A jednak jego filmy nie stwarzają u widzów poczucia dystansu czasowego... Dobry kostium przenosi w epokę, a jednocześnie pomaga aktorom w poszukiwaniu prawdy o granych postaciach, ułatwia wydobycie ich osobowości. Nigdy nie projektuję kostiumów, gdy nie znam obsady. Bo nie wiem, czy np. aktorka lepiej czuje się w dekolcie w szpic czy w łódeczkę. Potem szukam, co w danej epoce było możliwe, jak można kostium dopasować dla konkretnej osoby, co będzie dla niej najlepsze, w czym się będzie najlepiej czuła. Uwspółcześnienie drobiazgów czy koncepcji kolorystycznej szalenie pomaga w tym, by kostium stał się bliski naszemu poczuciu estetyki, piękna.

Andrzej May, Alicja Jachiewicz i Jan Englert w „Rodzinie Połanieckich", zimowo ubrani przez panią Kobierską Fot. **R. Sumik**

– „Chłopi", „Granica", „Rodzina Połanieckich" – to adaptacje literatury. Czy w sferze strojów polega Pani całkowicie na wizji pisarza?

– Nie, traktuję ją jako pomoc, sugestię, ale nigdy nie trzymam się jej ściśle. Autor przecież świadomie stylizuje, wybiera dla opisywanej rzeczywistości potrzebne mu elementy. Chociaż w „Chłopach" zaufałam Reymontowi i sprawdziło się. Rozmawiałam z ludźmi pamiętającymi dawne wesela – weźniaki ślubne były wtedy specjalnie tkane i przeważnie białe. Nasz utkano w Łowiczu. By powstał kostium, nie wystarczy literacki opis, kostiumograf bardzo często musi dopiero odkrywać tajniki jego wykonania. Do uszycia stylowej sukni współczesny krój zupełnie się nie nadaje, byłaby inna linia. Podstawa kroju musi być z epoki. Czasem udaje mi się znaleźć wykroje w starych książkach – tak było przy „Rodzinie Połanieckich" – czasem trzeba dopiero odtwarzać. Pamiętam kłopoty ze strojem Polaków-żołnierzy epoki napoleońskiej w „Popiołach", gdzie byłam asystentką Jerzego Szeskiego. Nosili mundury szalenie dopasowane, a jednocześnie pozwalające na całkowitą swobodę ruchów. Dopiero dokładne wymierzenie munduru w muzeum pozwoliło odkryć zasady kroju. Czasem organizujemy w wytwórni skupy starych ubrań – wiele można z nich podpatrzeć właśnie w kroju, sposobie zszywania. Równie trudne jest niekiedy zdobycie materiałów, jakich dawniej używano. Czasem znajdujemy je w wytwórniach, magazynach starych, bezużytecznych już kostiumów. Tak właśnie zdobyłam tafty, żorżety, szyfony i welury na stroje dla pań z „Granicy". Sięgnęliśmy do resztek po „Zemście", „Warszawskiej premierze", „Hrabinie Cosel".

– Czy korzysta Pani ze swych dawnych doświadczeń, jeśli akcja filmu toczy się w poznanej już kiedyś epoce?

– Na pewno. To jest trochę tak, jak gdyby się wracało do dawnych znajomych. Bardzo miłe uczucie. Ale trzeba też pamiętać o latach, jakie minęły, bo zawsze na przeszłość patrzy się z perspektywy dnia dzisiejszego.

– Woli Pani ubierać kobiety czy mężczyzn?

– Nie zastanawiałam się nad takim rozróżnieniem. Kostium męski również jest bardzo interesujący. Może raczej powiedziałabym, że są aktorzy, których szczególnie lubię ubierać. Na przykład Bronisława Pawlika. To aktor, który umie docenić rolę kostiumu w filmie, jest szalenie wymagający, a jednocześnie bardzo pomaga. Jest jakby współtwórcą kostiumu, a zarazem jego wdzięcznym odbiorcą. Potrafi dostrzec, że ma prawdziwą spinkę, którą gdzieś zdobyłam. Podobnie Krystyna Janda, Andrzej Seweryn – wraz z nimi tworzy się kostium. Jeśli aktor jest obojętny, ubiera się go lepiej czy gorzej, ale nie daje to takiej satysfakcji, nie sprawia dodatkowej przyjemności.

– Jaka epoka jest Pani zdaniem dla kostiumografa najtrudniejsza?

– Dla mnie współczesność, choć to może brzmi paradoksalnie. Przede wszystkim dlatego, że wszyscy na planie chcą się na tym znać i każdy ma swoje zdanie. Przy filmie stylowym mam dokumentację, nikomu nie chce się w nią zagłębiać, więc mi ufają. Okres przygotowawczy przy filmie współczesnym jest znacznie krótszy. Nie ma czasu na szycie, często trzeba bazować na rzeczach gotowych, a te nie zawsze łatwo kupić.

– Czy jest epoka, w którą zagłębiłaby się Pani szczególnie chętnie?

– Właściwie nie mam czasu na marzenia. Dużo pracuję, mam interesujące propozycje. Wszystkie epoki wydają mi się ciekawe, dla kostiumografa fascynujące, bo to przebywanie w pięknym barwnym świecie, który ożywa na ekranie. Teraz mam przed sobą lata dwudzieste. Jan Rybkowski przystępuje do nowej ekranizacji „Kariery Nikodema Dyzmy". Bardzo się cieszę na spotkanie z tą epoką, na razie jednak dopiero gromadzę dokumentację, szukam wizerunków tamtych ludzi. Zbyt wcześnie jeszcze, by mówić bardziej konkretnie.

Rozmawiała
ELŻBIETA DOLIŃSKA

DOM MODY świata młodych

Wytwornie i romantycznie

Jednym z nurtów – bardzo licznych – aktualnej mody jest obecność bardzo wytwornych i bardzo romantycznych dodatków. Koronki – czym subtelniejsze tym modniejsze, aksamitki pod szyją, chusteczki powiewne – koronką obszyte, a jakże – w kieszonkach, sztuczne kwiaty... Zamieszczone zdjęcia są próbą scharakteryzowania o co chodzi. Do całości owej dokomponowane są fryzury, przede wszystkim gdy ktoś ma włosy długie. Wtedy upięte są w tzw. koronę lub jakoś inaczej luźno podwinięte do góry i przytrzymane klamerkami ozdobionymi sztucznymi perełkami lub szklanymi paciorkami, takimi, co to udają brylant.

Kwiaty sztuczne – szał to duży. Dwa rodzaje bardzo dobrze ze sobą współegzystują. Takie „jak żywe" (jak np. na zdjęciu), czyli upodobnione do jakiegoś kwiatu, który naprawdę istnieje lub absolutnie fantazyjne, wymyślone.

Z koronki są kołnierzyki, rękawiczki i chusteczki, które wkłada się do kieszonek czy przypina (np. sztucznym kwiatkiem do klapy żakiecika). Najmodniejsza jest koronka bawełniana, ręcznie wykonana szydełkiem. Na ogół biegłe są w tej sztuce prawie wszystkie babcie i starsze ciocie, bo kiedyś każdą małą dziewczynkę takiego dziergania uczono. Więc jeśliby się do babci uśmiechnąć...

Te wytworne i romantyczne dodatki w zasadzie potrzebują równie wytwornego i romantycznego podkładu – coś ciemnego bardzo, najlepiej czarnego, jakiś aksamit, jedwab... Napisałam „w zasadzie", bo spotkałam się (a jest tego przykład i na jednym ze zdjęć) z tym, że nosi się taką koronkową chusteczkę przyczepioną do ciuszka bardzo z natury swej sportowego. Pozornie może to się i gryzie ze sobą, ale... takie panuje aktualnie w modzie pomieszanie stylów, że wszystko może być. Nawet przysłowiowy kwiatek do kożucha (sztuczny kwiatek, ale zawsze) jest obecnie czymś, bardzo – powiedziałabym – stylowym. A jakie modne są riuszki! Tak, tak – ja się też swojej kolejki doczekałam.

RIUSZKA

Ludzie i atole czyli wędrówki po Mikronezji

GIBRALTAR PACYFIKU

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

We wrześniu 1973 wyspecjalizowana japońska firma z doborowym zestawem sprzętu i przy udziale najlepszych nurków przystąpiła do prac. Ekipie udało się wydobyć wiele ludzkich szczątków, osobistych drobiazgów należących do nieszczęsnych marynarzy, którzy zostali pod wodą prawie trzydzieści lat temu. Przy udziale sprowadzonych z Japonii krewnych poległych marynarzy, na wyspie odbyła się kremacja, a prochy zostały repatriowane do Tokio i złożone w Grobie Nieznanego Żołnierza.

Historia I-169 nie skończyła się na tej uroczystości. W rok później fatalny okręt pochłonął jeszcze jedną, zapewne ostatnią już ofiarę. Był to młody płetwonurek, który wraz z kolegą zapuścił się do wnętrza kadłuba. Tam zagubił się zupełnie i utknął w jakimś ciasnym przejściu, aż do wyczerpania powietrza w butlach. Mniej więcej w godzinę po jego śmierci odnaleziono nieszczęśnika i wydobyto na powierzchnię.

Joe kończył swoją opowieść i łypał znacząco na obu zasłuchanych chłopaków. Nie miałem najmniejszej wątpliwości że historia, a zwłaszcza jej zakończenie była adresowana do rozsądku obu płetwonurków.

– Otóż wrak tego okrętu leży niedaleko stąd... – finiszował Joe.

Bill i Rodney nie dali mu skończyć:

– Joe! Płyniemy, płyniemy tam koniecznie!! Słowo, że tylko zerkniemy z powierzchni, bez butli!!

Szyper dał się ubłagać. Podeszliśmy bliżej lądu.

– To będzie tu – Joe zatrzymał silnik.

Rozległ się podwójny plusk i obaj studenci zniknęli w wodzie. Dotrzymali jednak słowa. Nie nurkowali, płynęli tylko ze swoimi rurkami, krążąc wokół łodzi jak rekiny. Nie wytrzymałem i ja. Uzbrojony w maskę, wsadziłem, niby struś, głowę do wody i spokojnie oddychając przez rurkę, starałem się coś dojrzeć. Woda była czysta, prześwietlona słońcem. A jednak minęła dłuższa chwila, nim daleko w dole dostrzegłem zarys cygara leżącego w ciemnozielonej toni. Okręt leżał chyba na równej stepce; stalowa zbiorowa mogiła kilkudziesięciu marynarzy, których życie zniszczyła wojna.

Poczułem szarpnięcie. To Joe dawał znak, że czas płynąć dalej.

JANUSZ WOLNIEWICZ

Jest to fragment przygotowywanej do druku książki pt. „Ludzie i atole", która ukaże się nakładem Wydawnictwa MON.

Proponuję dziś przeczytanie przede wszystkim wypowiedzi Marka Kobyry na temat tzw. par anormalnych. Wnioski jakie wysuwają astronomowie z obserwacji tych par są wręcz rewolucyjne. Podważają bowiem prawdziwość teorii względności, a także fundamentalnego twierdzenia o granicznej prędkości światła w przyrodzie. Jest to jednak na razie tylko hipoteza, która po dokładniejszych badaniach może okazać się błędna. Takich przypadków w przeszłości było już wiele. Niemniej problem jest niezwykle interesujący i należy go traktować poważnie.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

„Wenus – 11" i „Wenus – 12" coraz bliżej celu

Radzieckie Centrum Dalekiej Łączności Kosmicznej poinformowało, że automatyczne stacje „Wenus-11" i „Wenus-12" kontynuują lot. Dokonano z nimi 72 seanse łączności radiowej, w czasie których zmierzono parametry lotu, sprawdzono pracę systemów pokładowych, przyjęto ze stacji infromacje naukowe. 24 listopada „Wenus-11" znajdowała się 12,4 a „Wenus-12" – 11,1 miliona kilometrów do celu. Aparatura pokładowa obu stacji funkcjonuje bez zakłóceń.

Sylwester Walczak
ul. Podrzeczna 43/6
99-400 Łowicz.
Czł. S.A.G.T. „POL"

Teoria par anormalnych i co z niej wynika

Chciałbym przedstawić teorię dotyczącą tzw. par anormalnych. Są to obiekty złożone z galatyki i połączonego z nią pomostem świecącej materii obiektu o dużej gęstości (najczęściej radioźródła). Każdy ze składników owych układów ma inne przesunięcia ku czerwieni. Jeżeli te obiekty znajdują się w tej samej odległości od nas i poruszają się z taką samą prędkością – na co wskazywałoby istnienie łącz między nimi – to analiza ich widm wskazuje, że prędkość poruszania się radioźródła jest o około 10 tys. km/s większa niż galaktyki. Początkowo część astronomów przypuszczała, że takie zestawienie obiektów w pary anormalne jest tylko efektem optycznym, polegającym na tym, że oba obiekty znajdują się w jednej linii, ale w znacznej od siebie odległości, przy czym odleglejsze od nas jest radioźródło. Jednak do dziś rozpoznano już kilkadziesiąt par anormalnych i jest nieprawdopodobne, choć możliwe, aby zawsze powtarzał się ten sam zbieg okoliczności. Tym bardziej, że obserwowane anomalie mają zawsze ten sam charakter.

Zdaniem Jean-Claude Peckera i Jean Pierre Vigiera przesunięcie widm obserwowanych galaktyk jest spowodowane nie ich oddaleniem, ale zakłóceniami emitowanego przez nie światła. Według obu uczonych przyczyną zakłóceń są **bozony.** Fotony zderzając się z bozonami tracą część energii i w ten sposób fotony „zielone" stają się „żółte". Bozony, zmniejszając wskutek zderzeń energię fotonów, nie zmieniają ich trajektorii. Ta ich własność powoduje, że otrzymane obrazy obiektów nie ulegają zniekształceniom i możliwa jest ich obserwacja.

Powstaje pytanie: skąd się biorą bozony? Teoretycznie, w trakcie reakcji termojądrowych na powierzchni Słońca, powstają bardzo duże ilości **neutrino**. Słońce emituje jednak ich mało. Aby wytłumaczyć tę rozbieżność, astrofizyk Bacckall sugerował, że neutrino, rozkładają się na dwie nie dające się obserwować inne cząstki. Tymi cząstkami byłyby bozony. Bozony występują w dużych ilościach w pobliżu obiektów o dużej gęstości. Absorbując część energii fotony powodują, że widmo światła z odległych źródeł, lub bliskich – ale o dużej gęstości, jest przesunięte ku czerwieni. Częściowe potwierdzenie hipotezy Peckera i Vigiera przyniósł lot amerykańskiej sondy kosmicznej „Pionier 6".

Całkowite potwierdzenie tej teorii grozi upadkiem teorii ekspansji wszechświata. Być może straci również sens pojęcie początku wszechświata i w związku z tym wszystkie przypuszczenia dotyczące jego wieku staną się bezpodstawne.

Fizyka kwantowa zakłada, że foton nie ma masy. Jeżeli foton miałby masę, nawet niewyobrażalnie małą, o czym zdają się świadczyć zderzenia z bozonami, możliwe są następujące przypuszczenia:

1. światło nie porusza się z „prędkością światła" – ponieważ żadna masa nie może poruszać się z tą prędkością, co jest nierozwiązalnym paradoksem;

2. błędna jest teoria względności;

3. zmianie muszą ulec teorie dotyczące światła i zjawisk z nim związanych.

Wszystko to zmusi naukowców do stworzenia „nowej fizyki" dla astronomów, aby mogli oni budować kosmologię opartą na całkowicie nowych podstawach.

Marek Kobyra („Arktur")
ul. Ogrodowa 24/12
14-400 Pasłęk

GRUBOŚĆ SKORUPY MARSA

Trzęsienie na Marsie zarejestrowane przez sejsmografy „Wikinga 2" w listopadzie 1976 r. dostarczyło cennych informacji do badań nad strukturą i grubością skorupy Marsa. W badaniach wykorzystano także informacje uzyskane przez „Marinera 9" w latach 1971–72. Badania grawimetryczne i sejsmiczne oraz analiza reliefu powierzchni Marsa pozwoliły określić grubość skorupy tej planety. Średnia skorupa Marsa ma 40 km grubości, ale w rejonie Tharsis dochodzi do 77 km, a w okolicach zachodniej części Hellas jest bardzo cienka i ma tylko 8 km. Średnia grubość skorupy ziemskiej wynosi 33 km, tj. 0,5 proc. wielkości promienia Ziemi, tymczasem na Marsie ma 1,2 proc. długości promienia tej planety.

Marian Formela
ul. Rutkowskiego 15 D/e 10
83-110 Tczew

W opinii niektórych naukowców bliski jest już czas, kiedy energię niezbędną do napędzania maszyn w fabrykach, ogrzewania mieszkań i oświetlania miast będziemy mogli czerpać bezpośrednio z przestrzeni kosmicznej.

O jednym z takich rewolucyjnych projektów pisze zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel", który omawia założenia przedstawione przez amerykański koncern samolotowy „Boeing". Eksperci tej firmy są zdania, że specjalnego rodzaju satelita, umieszczony w odległości ok. 36 tys. kilometrów od Ziemi i zaopatrzony w 14 miliardów fotokomórek, pobierających i kumulujących energię słoneczną, mógłby zastąpić z powodzeniem dziesięć elektrowni atomowych, dostarczając prąd o mocy 10 tysięcy megawatów.

Choć sam projekt wydaje się niezwykle oryginalny i realny, zarówno zawrotne koszty, jak i trudności techniczne nie wróżą jednak, aby mógł wejść nazbyt szybko w etap realizacji. Wystarczy bowiem powiedzieć, iż nowa satelitarna elektrownia musiałaby mieć wagę około stu tysięcy ton, a jej powierzchnia robocza wynosiłaby ni mniej, ni więcej tylko 50310 tys. metrów kwadratowych. Koszty tego przedsięwzięcia zostały obliczone wstępnie na 1000 miliardów dolarów. Według wstępnych obliczeń czas pracy jednej tego rodzaju elektrowni słonecznej (projekt przewiduje umieszczenie na orbicie okołoziemskiej od 25 do 100 tego rodzaju satelitów) obliczony jest na ok. 50 lat.

Sylwester Walczak
ul. Poprzeczna 43/6
99-400 Łowicz
Czł. S.A.G.T. „POL"

ELEKTROWNIE SŁONECZNE NA ORBICIE

mam prawo zatrudniać, ale... – zawahał się przez moment – wypijemy jeszcze po jednym, co?

Kelner już im nalewał po miareczce. Doleli sobie wody z prostokątnej butelki, płyn zrobił się biały, kostki lodu topiły się powoli.

– Wasze zdrowie! – gospodarz podniósł w górę swoją szklankę i wypił duszkiem. Chłopcy popijali małymi łykami, jakby delektując się smakiem i aromatem specjału, chociaż, prawdę powiedziawszy, wcale im nie smakował ten anyżek. Woleliby zwykłą zimną oranżadę. Czekali, co dalej powie właściciel.

– Ja też chciałem kiedyś śpiewać – zaczął wreszcie. – Byłem może trochę starszy od was, kiedy to na mnie naszło. – Zamilkł na chwilę i puszczał kłęby dymu z papierosa. – Moja matka miała kafejkę, o, bardziej elegancką niż ta... Sama ją prowadziła. Dzielna kobieta. Ja chciałem śpiewać i miałem w nosie cały ten interes. Wiecie dobrze, jak to jest... Też próbowałem pod Katedrą. Dlatego lubię tam czasem pójść, popatrzeć, posłuchać... Tylko, że nie byłem chyba taki uparty jak wy. I to mnie uratowało. Być jednym z tych śpiewających, być kroplą deszczu i ciągle tylko liczyć na szczęśliwy traf, to nie dla mnie. Ja mogę liczyć tylko na swoją pracę. Tutaj rachunek jest prosty: jak lepiej się zakrzątnę, więcej mam. Chociaż czasem też zdarzają się niespodzianki... Najważniejsza rzecz – przyciągnąć klienta. Nas – właścicieli różnych lokali, jest też cała armia, ale ten interes opiera się na mocniejszym fundamencie: jeść i pić potrzebuje każdy. Przychodzi tu do kafejki taki jeden. Lubię sobie z nim czasem pogadać. Był kiedyś nauczycielem muzyki. On by was nazwał nerwowcami. Mówi, że na świecie są tylko dwa gatunki ludzi: nerwowcy i patyki. Nerwowcy chcieliby wszystko mieć po swojej myśli, i to od razu. Szarpią się i zdzierają. Potrzeba im czegoś więcej, niż być tylko zwyczajnymi szaraczkami. Rosną im skrzydła, i szukają sami nie wiedząc czego. Ale to są właśnie prawdziwi ludzie. A patyki: dobrze im jest, tak jak jest. Nie chcą zmieniać świata, tylko ustawiają się w nim najwygodniej. Wzdłuż, a nie w poprzek. Nerwowcy i patyki, oto cały nasz ludzki ród. Wydaje wam się, że to prawda? A ja myślę, że to wielkie łgarstwo. Dla niego oczywiście ja jestem patykiem, ale skąd on może wiedzieć co we mnie siedzi? Ja wierzę, że w każdym człowieku jest trochę tego i trochę tego. Wojują ze sobą ciągle te dwie siły i nawet jeśli zwycięży patyk, to zostaje w nim gdzieś ukryty nerw. Wystarczy mała nieuwaga, żeby go poruszyć. Walka zaczyna się od nowa. Wy właśnie poruszyliście we mnie taki nerw, wtedy, koło Katedry. Dziś chciałem was spławić z niczym, a jednak wszystko wyszło inaczej. Różni u mnie śpiewają. Zdarza się czasem, że i bardzo sławni. Ale mówię wam, bywają wśród nich i takie patyki, że niech Bóg broni! Odwalają swoją robotę, aby się pozbyć. Płacę im i nic nie mówię, bo dla mnie ważne jest nazwisko. Ale czy myślicie, że się na tym nie poznam? Dobrze. Puszczę was jutro wieczorem na estradę. Śpiewajcie, co tylko chcecie. Jeśli was nie wygwiżdżą, to płacę wam po sto franków... – Wyciągnął do nich rękę ponad stolikiem.

– Może zaraz uzgodnimy repertuar? – spytał Janek ściskając mu dłoń.

– Nie. Powiedziałem już: śpiewajcie, co chcecie. Zdaję się na wasz gust. Umowy też nie będziemy spisywać. Wystarczy słowo. A więc bądźcie u mnie o ósmej wieczorem.

– Zgoda!

– No, to jeszcze raz pastis!

– A co będzie, jeśli nas wygwiżdżą? – spytał Piotr podnosząc szklankę do ust.

– Jak was wygwiżdżą, to nie zapłacę, oczywiście. Jest we mnie też trochę z patyka. Dlaczego tylko ja mam ryzykować?

JAN I PIOTR W SWOIM NAJNOWSZYM REPERTUARZE

Mogli sobie teraz wygodnie odpocząć po tych wszystkich nocach spędzonych nad Sekwaną. Byli dziś „panami z hotelu", a przecież od samego rana coś ich gnało do miasta. Ledwo zmusili się do małej próby. Prześpiewali pośpiesznie cały repertuar. Piotr spisał na kartce tytuły piosenek, które chcieli zaprezentować w kafejce.

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚMIESZY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 27

STRESZCZENIE

ORIENT-MEN BĘDĄC NA PÓŁNOCY, ZNAKOMICIE REPERUJE KALORYFER NA GRENLANDII. JEDNAK PONURY ESKIMOS PRZESŁADUJE ORIENT-MENA ZA RZEKOMĄ ZŁĄ JAKOŚĆ REPERACJI I TYLKO DZIĘKI NASZEJ ZDECYDOWANEJ POSTAWIE ESKIMOS ZANIECHAŁ SWEGO NIECNEGO PROCEDERU, ZAŚ PLANY TWÓRCZE I STOPA ŻYCIOWA ORIENT-MENA NIE ULEGŁY ZMIANOM....

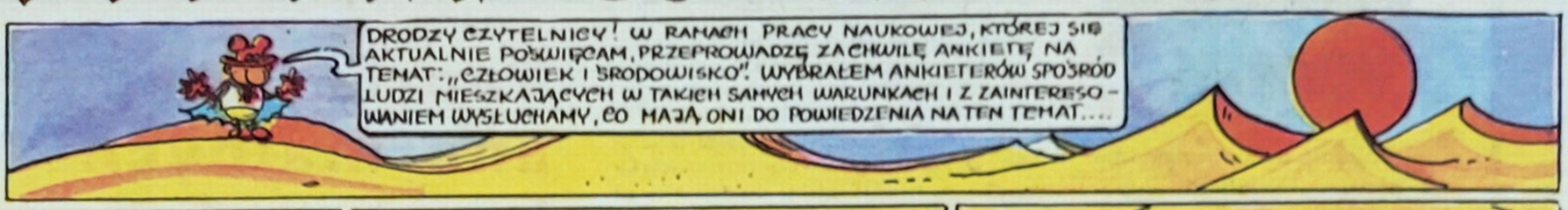

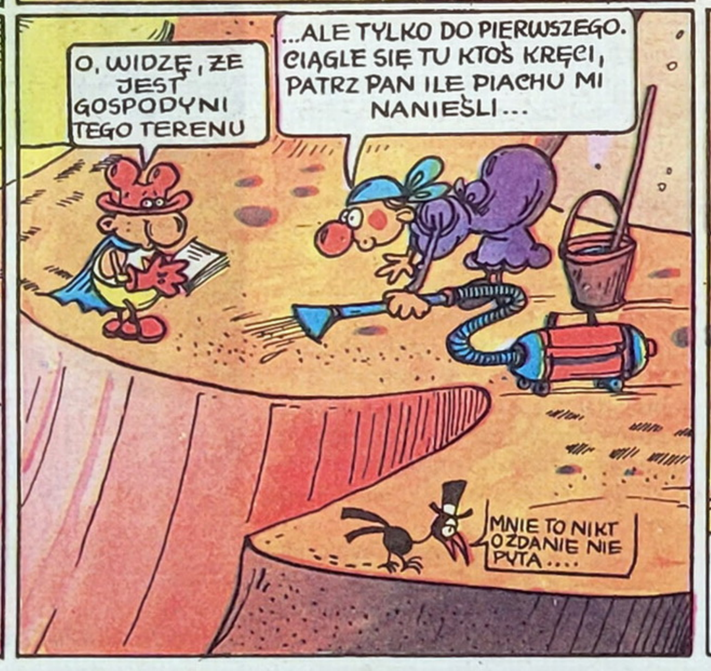

...POWIEDZIAŁA FATA MORGANA, NATOMIAST ORIENT-MEN ZEBRAWSZY CAŁĄ DOKUMENTACJĘ, PO JEJ OPRACOWANIU I WYDANIU DRUKIEM OTRZYMAŁ HONOROWY TYTUŁ ZREHABILITOWANEGO DOCENTA

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 8029/G S-14

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Jankowi przemknęła przez głowę myśl, że Julietta miała rację z tym szczęściem. Było mu jakoś dobrze i wesoło. Zaczął przypominać sobie wszystko po kolei. Co było najważniejsze? Rozmowa z właścicielem kafejki, nowa nadzieja, zaprawiona goryczą czekania? Śpiewanie w oberży, czy może to „Made in Poland" na maszynach elektronicznych? Tak, chyba to właśnie przydało specjalnej barwy dzisiejszemu dniu.

– Zobaczysz, jeszcze wszystko nam się uda! – ścisnął mocno za ramię przyjaciela.

Julietta trzymała w ręku gałązkę akacji i obrywała powoli listek po listku.

– Będzie, nie będzie... będzie, nie będzie – mruczała pod nosem.

– I co ci wyszło? – zapytał Janek.

– Pomyliło mi się – odpowiedziała. – Może będzie, a może nie.

Piotr znalazł jeszcze parę razy pracę w porcie, Janek chodził z Juliettą po pomarańcze, nocowali przeważnie nad Sekwaną, ale w przeddzień następnej wizyty w kafejce zafudnowali sobie hotel. Doprowadzili się trochę do porządku, żeby nie wyglądać na włóczęgów i pełni nadziei i obawy stanęli wreszcie przed obliczem właściciela.

Spojrzał na nich, jak gdyby z zakłopotaniem i wzruszył ramionami.

– Co ja wam mogę powiedzieć? – westchnął i rozłożył bezradnie ręce. – Obiecałem wam, to prawda, no, ale wyszło nieco inaczej. Bardzo was przepraszam.

– Czy to znaczy, że pan rezygnuje? – spytał Janek.

– Nie zawieraliśmy żadnej umowy – zastrzegł się właściciel.

Janek już mu chciał powiedzieć, że przecież była między nimi jakaś umowa, że słowo powiedziane jest nie mniej ważne od napisanego – miał już to wszystko na końcu języka. Kafejkarz musiał widocznie wyczuć jego myśli, albo wpadł mu do głowy nowy pomysł, bo w jednej chwili zmienił się zupełnie.

Była wczesna przedpołudniowa godzina, ruch w lokalu niewielki, usługiwał gościom mały, czarniawy garson. Kafejkarz szybkim ruchem zrzucił z siebie niebieski fartuch i zaprosił chłopców do stolika.

– Siadajcie – powiedział. – Jeśli macie czas, pogadamy. Nie czekał na odpowiedź. Uważał widocznie to pytanie za czysto retoryczne, schwycił ich po prostu za ramiona, popchnął w stronę wolnego stolika w głębi sali i usadowił na krzesłach. – Czego się napijecie? – spytał. I znów nie czekając na odpowiedź powiedział pół do nich, pół do usługującego chłopca: – Trzy razy pastis z lodem. – A potem już tylko do nich: – Trzeba się trochę odświeżyć. Straszny dziś upał.

Kelner przyniósł trzy szklaneczki. Najpierw postawił przed właścicielem, potem przed chłopcami. W powietrzu rozszedł się ostry zapach anyżku. Nalał z butelki po miareczce płynu.

– Zapalicie? – położył przed nimi paczkę papierosów.

Piotr pokręcił głową, że nie. Doleli sobie wody do szklanek i wypili. To orzeźwiło myśli.

– No więc, co ja wam mogę powiedzieć? – westchnął znowu kafejkarz, tym razem już trochę przyjaźniej. – Podobacie mi się.

– Hm... – chłopcy spojrzeli po sobie zaskoczeni, nie wiedząc do czego zmierza.

– Czy śpiewaliście już kiedyś komercjalnie, czy tylko dla przyjemności, dla siebie?

– Właściwie to tylko tak... – zaczął Janek i resztę dokończył gestem.

– Rozumiem – skinął głową kafejkarz. – Bo widzicie, u mnie śpiewają tylko zawodowi. Trzeba mieć pozwolenie. Tylko takich

Dokończenie na str. 7